DWUMIESIĘCZNIK KOŁA KRAJOZNAWCZEGO
IM. PROF. LUDOMIRA SAWICKIEGO, UCZNIÓW PAŃSTWOWEGO
GIMNAZJUM IM. KRÓLA STANISŁ. LESZCZYŃSKIEGO W JAŚLE.

Nr. 3 (27). Maj - Czerwiec 1937 r.
Rok VI.

MŁODY GEOGRAF

TREŚĆ

Str.
St. W.: Nasze góry w historii 1
W. Walczak: Wśród jarów ciepłego Podola 8
Józef Staśko: Nieco o kulturze współczesnej Anglii 15

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: JASŁO, PAŃSTWOWE GIMNAZJUM.
REDAKTOR: PROF. JÓZEF STAŚKO.
Czcionkami Zakładu Graficznego BRACI SKRUDLIK W JAŚLE — Targowica 9.

St. W.

Nasze góry w historii.

(Ciąg dalszy)

Bitwa pod Gorlicami.

(Z opisu naocznego świadka).

WIELKA ROCZNICA.

Dwadzieścia dwa lat mija od wielkiego zwycięstwa Niemców nad Rosjanami pod Gorlicami. Bitwę tę nazwali Niemcy przełomem — istotnie od uderzenia ofenzywnego na ustalone od kilku miesięcy pozycje rosyjskie frontu, ciągnącego się na tysiąc kilkaset kilometrów, od Kłajpedy po Bukowinę — rozpoczęło się stałe cofanie wojsk rosyjskich z ziem polskich. Front rosyjski, wygięty grzbietem Karpat, biegiem dolnego Dunajca i Nidy, przez Pilicę Łódź-Wisłę skręcał następnie w kierunku północno-wschodnim, równolegle do granic Prus Wschodnich, po ukończeniu ofenzywy wyprostował się zupełnie z końcem lata 1915 r. Rosjanie pobici i wyparci z ziem polskich zasadniczo frontu nie zmienili już do końca wojny światowej i mimo, że wojnę z Niemcami prowadzili jeszcze 2½ lata, zostali przez Niemców ostatecznie pokonani, bo właściwie w ofenzywie majowej 1915, a ściślej w bitwie pod Gorlicami, runęła militarna potęga carskiej Rosji raz na zawsze. Ta klęska spowodowała z jednej strony przedłużenie o kilka lat wojny, a w jej wyniku wyczerpanie i ostatecznie klęskę Niemiec, a z drugiej strony rewolucję rosyjską i odpadnięcie Rosji od koalicji. Oba te wyniki stały się podstawą do wskrzeszenia Polski, której wolę do niepodległości objawiały światu bohaterskie czyny Legionów Polskich.

Dlaczego Gorlice?...

Że Gorlice obrano za centrum uderzenia ofenzywnego Niemców, zadecydowały o tym warunki topograficzne terenu. Przeforsowanie przełęczy dukielskiej było dla Rosjan konieczne dla dostania się na Węgry. Obrona tej przełęczy była zadaniem sztabu austro-węg. jeszcze przed wojną dobrze opracowanym, a w maju 1914 r. tuż przed wybuchem wojny sztabowcy austriaccy badali naocznie konfigurację terenu i widziało się wówczas w Gorlicach generałów austr., którzy pieszo obchodzili wzgórza od zachodniej strony miasta i wtedy zadecydowali pod Gorlicami linię oporu w planach wojennych. Od

Gorlic na wschód obniżają się silnie Karpaty z największym obniżeniem w przełęczy dukielskiej. Zachodnią krawędź tej przełęczy stanowią góry, ciągnące się na zachód od Gorlic. Jak długo Rosjanie, którzy przez całą zimę 1914/1915 byli w przełęczy dukielskiej, mieli z prawej flanki z natury obronne pozycje austriackie, tak długo nie mogli myśleć o przeforsowaniu Karpat pod Duklą. Przez cztery przeszło miesiące zimowe spełniał front austriacki pod Gorlicami zadania obrony przełęczy dukielskiej i uniemożliwienia Moskalom dostania się na Węgry.

Obok tej defenzywnej roli front pod Gorlicami nadawał się również do ofenzywnej akcji, którą opracował szef sztabu austr. v. Hötzendorf, a wykonał marszałek niemiecki v. Mackensen.

Pod Zborowem (na Słowacji) na południe od Gorlic linia frontu załamywała się pod kątem prostym, t. j. linia ta, biegnąca szczytami Karpat w tym miejscu skręcała ku północy, a od Gorlic lekko ku północnemu zachodowi. Na wschód od tego kąta rozciągała się kotlina jasielsko-sanocka o pagórkowatym terenie i dobrych stosunkowo wówczas drogach. Ważyły się losy w sztabach niem. i austr., które miejsce obrać na ofenzywę. Zadecydowano ostatecznie Gorlice, skąd prowadzone natarcie w kierunku wschodnim zmuszało Rosjan do automatycznego zwijania frontu w Karpatach. Biuletyny rosyjskie z tego czasu (kwiecień 1915) usprawiedliwiały bezczynność swej armii w Karpatach roztopami wiosennymi. Po osuszeniu zamierzali odeprzeć front galicyjski najdalej na zachód, aby sforsować następnie przełęcz dukielską.

Te ich zamiary przerwały nagle przygotowania do ofenzywy Niemców z końcem kwietnia, tak, że wysiłki Rosjan skierowały się teraz do przygotowań dla odparcia spodziewanego ataku. Wzmocniono front, ściągnięto rezerwy, dwie dywizje czekały pod Bieczem, aby przeciwstawić się ofenzywie niemieckiej, zniszczono tor kolejowy od Jasła.

Dwudziestokilko-kilometrowy odcinek na północ i południe od Gorlic obsadziły gwardyjskie pułki armii Mackensena, złożonej z Bawarczyków i Polaków (z Poznańskiego i Śląska).

Austria przydzieliła do tej armii najlepsze, jakie posiadała pułki a mianowicie pułki polskie (20, 56, 100), którymi obsadzono odcinek w Łużnej dla zdobycia silnie oszańcowanej i lasem pokrytej góry t. zw. „Pustki".

Główną rolę w przełamaniu frontu powierzono artylerii, która w niebywałej dotychczas ilości (1000 dział na tym odcinku) zajęła dogodne stanowiska i przez dwa dni przed bitwą wstrzeliwała się do celu w okopy rosyjskie.

Przebieg bitwy...

Nastała pamiętna noc z 1. na 2 maja. Od północy najcięższe działa rozpoczęły kanonadę na wybrane za dnia punkty pozycji rosyjskich. O świcie w niedzielę 2 maja huraganowy ogień artyleryjski, użyty po raz pierwszy

od wybuchu wojny, wstrząsnął ziemią, nieustanny ryk armat grzmiał i huczał w powietrzu. Odrazu całe miasto ogarnął pożar, podsycany wściekłym wichrem, który powstał wskutek kanonady. W rozrzedzone tysiącznymi eksplozjami i pożarem warstwy powietrza napływały nowe warstwy z gór. Wicher przewalał się gęstymi tumanami gryzącego dymu przez wszystkie ulice miasta docierając szczelinami do wszelkich ubikacyj i piwnic — dusząc ludzi.

Kanonada wzmagając się doszła do najwyższego natężenia około godz. 10-tej. Wszystkie kalibry armat podniosły piekielny chorał: jedno wściekłe dudnienie, jeden nieustanny ryk rozdzierał powietrze i tylko najcięższe kalibry ($30^1/_2$ cm.) dały się odróżnić w tym wyciu tysiąca dział.

Okopy rosyjskie, zasypane rychło granatami opróżniły się z obrońców, którzy, o ile nie padli na miejscu, uciekali, jak opętańcy z rowów. Główną ulicą miasta przez jakie dwie godziny w największej panice i zwierzęcym przestrachu i oszołomieniu waliła nieprzebrana masa uciekającego żołdactwa. Jak przewalające się fale wezbranej rzeki, kłębiły się te szare masy żołnierzy, pochylonych w jednym kierunku, pędzących na oślep naprzód i naprzód, byle jaknajprędzej uciec z tego piekła, dymu, huku, ognia i śmierci. Ale nieubłagany granat wali w te masy, gruzgoce i wywraca, kto nie ubity, to ogłuszony, oszołomiony i przerażony tak, że nieprzytomny kręci się w kółko, nie wiedząc, dokąd uciekać, potyka się i wywraca, a nowa fala uciekających uderza w niego, sama rozbija się i wywraca. Przy tym wszystkim gryzący dym czynił niemożliwą orientację dla oficerów, usiłujących tę paniczną ucieczkę zamienić w odwrót z pewnym porządkiem. Taką próbą osłony odwrotu było kopanie rowów w ostatniej chwili w ogrodzie dworskim w samym prawie środku miasta i ustawienie karabinu maszynowego na głównej ulicy (pod domem „Samopomocy“) dla przyjęcia ogniem atakujących Niemców. Było to jednak zbyteczne, bowiem już cała okolica koło miasta została oczyszczona z Moskali, których część została w mieście, nie wiedząc, że są otoczeni. Niemcy po zdobyciu, głównie artylerią, najważniejszych wzgórz, odepchnęli Rosjan jednym zamachem na 3 klm poza miasto. Do samego miasta weszli później, około godziny 2-giej popołudniu.

Tajemnica tego słynnego w wojnie światowej przełamania frontu leżała w działalności artylerii, oraz w nadzwyczaj szybkiem przeprowadzeniu ofenzywy według dobrze przemyślanego planu. Pierwszy raz użyte w bitwie pod Gorlicami zmasowanie ognia artyleryjskiego t. zw. ognia huraganowego (Trommelfeuer), zastosowanego później przez Niemców w ofenzywie na Belgrad i Serbię, pod Verdun, a następnie w dalszych latach wojny wprowadzonego w system w licznych próbach przebijania martwego frontu okopów.

Kanonada szczególnie większych dział, jeśli niewielkie stosunkowo straty uczyniła w zabitych i rannych pod Gorlicami, to swoim przerażającym i ogłuszającym rykiem, swoją grozą poraziła Moskalom nerwy i mózgi. Wytrzymać ten straszliwy huk, przetrwać przytomnie przez parę godzin tę piekielną muzykę armatnią było prawie niepodobieństwem. O ile celny granat ubił tylko kilku w okopie, to jednak swym przeraźliwym hukiem tak ogłuszył i oszołomił

sąsiadów, że conajwyżej zdolni byli tylko do ucieczki. Kanonada przeciągała się całymi godzinami, przybierając na intenzywności. Niepodobieństwem było nie dać się porwać uczuciu strachu, strachu przed przeraźliwym rykiem, przed wściekłą nawałnicą ognia i żelaza, która tuż nad głową wisi i lada sekunda spadnie na głowę. Było to uczucie człowieka, nad którego głową wisi topór kata, tylko, że nie trwało to sekundy, czy minuty, lecz całymi godzinami. Napięcie nerwów dochodziło do ostatnich granic, przetrwać w tym piekle dłużej było niepodobieństwem. Były i przed tym przez całą zimę kanonady i ostrzeliwania rosyjskich pozycji ciężkimi działami, przecież nigdy nie zdarzyło się coś podobnego. Ostrzeliwania miały ogień rzadki, dał się on przetrzymać. Gdy n. p. ostrzeliwano rowy rosyjskie na wzgórzu, gdzie dziś znajduje się cmentarz wojskowy, to Rosjanie wychodzili na czas kanonady do schronów pod górę i przeczekawszy strzelaninę wracali do okopów z powrotem. Kanonada nie wywoływała takiej depresji, by jej nie można było przetrwać. Wykluczone to było w czasie bitwy majowej. Walki piechoty, tym bardziej na bagnety przynajmniej pod Gorlicami nie było. Okopy rosyjskie przed przyjściem piechoty niemieckiej były zupełnie opróżnione. Co nie poległo od artylerii, uciekło.

Część Rosjan ukryła się w mieście, by pójść do niewoli, byli to przytomniejsi, którzy nie dali się porwać panice ucieczki. Co padło Niemców w tej bitwie, to przeważnie od karabinów maszynowych Rosyjska obsługa karabinów maszynowych spisała się dzielnie w tej bitwie, wytrwała do samego końca na swych stanowiskach, zginęła, albo poszła do niewoli, straciła wszystkie kulomioty, jednak zadanie swe spełniła, prażąc bardzo skutecznie napierającą piechotę niemiecką. Rosyjska artyleria, mocno zagrożona zaraz z początku bitwy, uciekła.

Dlaczego Niemcy zwyciężyli?...

Drugim głównym czynnikiem, który przyczynił się do zwycięstwa Niemców był znakomity plan całej bitwy, opracowany skrupulatnie do najdrobniejszych szczegółów i z nadzwyczajną dokładnością wykonany. Armia Mackensena przyjechała wprost z Belgii na front rosyjski pod Gorlice. Nowy Sącz, siedziba Dowództwa niemieckiego, był świadkiem przejazdu i przemarszu masy wojsk i materiału wojennego (artyleria) i podziwiał sprawność całej operacji przemarszu. Poszczególne oddziały już w Belgii otrzymały rozkazy, że będą mieli w tym a tym domu kwaterę w N. Sączu. Piechota niemiecka szła pieszo z Oświęcima, Białej, Wadowic pod Gorlice i nad Dunajec. Kolej podkarpacka ledwie mogła nadążyć dowozowi materiałów wojennych (amunicja). Co pięć minut mknęły długie pociągi towarowe z Suchej przez N. Sącz do Stróż, gdzie je całe kompanie żołnierstwa wyładowywały, zaś próżne pociągi puszczano drugim torem do N. Sącza przez Muszynę na Węgry.

W planie przebicia frontu pod Gorlicami przebijała zadziwiająca ekonomia materiału ludzkiego, którym bardzo umiejętnie rozporządzano. Gdzie

zachodziła potrzeba, tam rzucano większe siły, nie zważając na straty, jeśli efekt wydał spodziewane korzyści. Najważniejszym przynajmniej w centrum przedarcia było zajęcie górującego nad miastem wzgórza, nad którym dziś jest cmentarz wojenny. W łączności z tym zdobycie Góry Sokolskiej nad Parkiem, a raczej prawego brzegu rzeki Sękówki zadecydowało o przerwaniu linii pod miastem. Przez zdobycie pierwszej góry posunęli się zwycięzcy ku Mariampolowi, odcinając Moskalom główną drogę odwrotu. Uciekający, mając zagrożony gościniec, rzucili się na przełaj przez rzekę Ropę na bardzo stromy brzeg w „Parku Sokolim". Tymczasem tam, gdzie się tego nie spodziewano, gdyż z przeciwnej strony ich pozycji, Niemcy przy odgłosie trąbki uderzają z najeżonymi bagnetami na wychodzących z wody Moskali, którzy bez wahania poszli do niewoli razem z dowódcą odcinka generałem rosyjskim. W jaki sposób mogli się tam znaleźć Niemcy na tyłach drugich, a właściwie głównie do obrony zbudowanych okopów, ciągnących się na bardzo wysokim i stromym brzegu rzek Ropy i Sękówki? Te okopy rosyjskie były szturmem czołowym piechoty nie do zdobycia. Cały ten odcinek 3 km. długości od kościoła w Sękowej do „Parku Sokolego" był przez piechotę niemiecką nietknięty. Dopiero w Sękowej, gdzie brzeg rzeki jest łagodniejszy, przeforsowano atak Tam Tyrolczycy jeszcze na kilka tygodni przed zwycięską bitwą szturmem na most posunęli swe okopy na odległość kilkudziesięciu metrów od rosyjskich pozycji, zajmując nawet skrawek prawego brzegu Sękówki. Przedarcie rosyjskich linii 2 maja nastąpiło w Sękowej już o godz. 11 rano, pod samym kościółkiem murowanym. Po ukończonej robocie artylerii, piechota uderzyła tak gwałtownie, że w jednej chwili zniszczono wszelkie zapory, rozprószono Moskali, a szturmujący nie zatrzymując się, pędzili naprzód, zajmując jednym zamachem od tyłu cały 3 klm. odcinek rosyjskich najsilniejszych pozycji nad miastem. O godz. 13-ej na szczycie góry „Sokolej" na tyłach potężnych szańców rosyjskich, lasem i stromym brzegiem rzeki z natury umocnionych, widziało się szeregi Niemców, tych właśnie, którzy przedarłszy się pod Sękową po dwu godzinach oczyścili z Moskali całą wieś Sokół, aby znaleźć się o godz. 14-ej nad Mariampolem, gdzie właśnie dochodził do skutku atak, skierowany na zdobycie wzgórza Stróżówki i był już zwycięsko ukończony. W ten sposób zeszły się równocześnie dwa kliny wbite w miejscach, o 5 klm. od siebie odległych, pod kątem ostrym do pozycji rosyjskich nachylone, aby w oznaczonej godzinie zamknąć się w trójkąt, w którego środku leżało miasto. Plan precyzyjnie obmyślany, został z największą dokładnością wykonany. Każdy najdrobniejszy odcinek był w planie najściślej wystudjowany i dokładnie przeprowadzony. Cały przeszło 20 klm. klin pod Gorlicami od Gromnika do Małastowa, wbity w rosyjskie pozycje, składał się w rzeczywistości z wielu drobnych klinów, które zależnie od naturalnych właściwości terenu, od siły obronnej rosyjskich linii, w różnych miejscach wbijały się w rosyjskie pozycje, druzgocąc je w nieubłagany sposób.

O godz. 14-ej bitwa była skończona. Uciszyło się zupełnie. Przez miasto przemknęły patrole dla utrzymania łączności z nieprzyjacielem, który 3-4 klm. głębiej na wschód na drugi dzień 3 maja próbował wstrzymać napór Niemców.

Cywilna ludność, a było jej około tysiąca wylęgła z nor i piwnic, aby oglądnąć świeże pobojowisko i zgliszcza swych domostw. Jakaś dziwna radość opanowała tych nędzarzy, do zmor raczej, niż do ludzi podobnych, gdy przekonali się, że linia bojowa przesunęła się, że bitwa przewaliła się, że już nie grozi śmiercią ta ustawiczna strzelanina, która im bez przestanku przez 126 dni i nocy nerwy szarpała. Gdy nastały pierwsze godziny ciszy w mieście, wyroiło się wszystko, co żyło na ulicę, nie chciano wprost wierzyć rzeczywistości, że strzały już ucichły. Wprawdzie gdzieś o godz. 18-ej wieczorem pękło wysoko nad miastem kilka szrapneli rosyjskich, przyjętych drwinami, było to ostatnie pożegnanie się Moskali z miastem. Zresztą panowała cisza przez wieczór i noc bardzo ciemną, tylko resztki domów dogorywały wśród syku ognia.

Skutki zwycięstwa Niemców...

Tymczasem Niemcy nie próżnując, czynili całą noc przygotowania do następnych bitew pościgowych, podwożąc lżejszą artylerię pod nowe rosyjskie pozycje. Przedarcie frontu nie było jeszcze ukończone. Na drugi dzień (3-go maja) przyszło ciężkie jeszcze zadanie do spełnienia: przedrzeć drugą linię obronną Moskali, którzy na dogodnym pagórkowatym terenie, 3 klm na wschód w przygotowane poprzednio rowy rzucili dwie dywizje z rezerwy do wstrzymania ofenzywy niemieckiej.

Całodzienna bitwa 3-go maja, w której więcej piechota, niż artyleria brała udział, zakończyła się klęską Moskali, ogarniętych paniką i strachem przed Niemcami. Bitwa była miejscami krwawa. Pod Strzeszynem trzy razy Niemcy szli do ataku na bagnety na wąwóz, trzy razy odparli ich Moskale, zdobyto go za czwartym razem. Po przerwaniu tej linii Rosjanie stawili opór dopiero nad Wisłokiem, tak, że Niemcy już 6 maja byli w Jaśle, a 7-go w Krośnie, t. j. od 2-go maja posunęli się o 50 klm., podczas gdy Tarnów, o 6 klm. tylko oddalony od linii bojowej, zajęto 6-go maja Tak szybko klin, wbity pod Gorlicami wciskał się w rosyjski front Skutki tego forsowania pościgu dały nadspodziewane wyniki, bowiem cała część armii rosyjskiej, znajdującej się w przełęczy dukielskiej, mając od północy odcięty odwrót, (przyczym górzysty teren nie pozwolił na szybką ucieczkę), poszła do niewoli wraz z wyższymi oficerami, z artylerią bez walki, otoczona prawie zudelnie. Pożoga wojenna przewalała się na wschód coraz dalej i dalej, zostawiając za sobą ślady zniszczenia. Na Gorlicach wycisnął huragan wojny najsilniejsze piętno.

Straszny obraz Gorlic po bitwie.

Pobojowisko bitwy 2-go maja pod Gorlicami, oglądane zaraz po walce przedstawiało iście dantejski obraz grozy i zniszczenia. Trudno silić się na skreślenie obrazu, któryby choć w części mógł przedstawić rzeczywistość. Taka przechadzka przez ulicę Stróżowską aż do wsi Stróżówki przedstawiała

się, jak wędrówka po piekle. Już u samego wylotu ulicy Stróżowskiej do rynku widzi się istne cmentarzysko pompejańskie. Mury domów, już dawniej popalonych, ostatnia bitwa zamieniła w stosy gruzów, tworzących zwały bezkształtnych rumowisk i barykad, przez które trudno się przedrzeć. Nieco dalej dogorywuje kilka domów. Pod jednym z nich zwłoki rosyjskiego żołnierza, nie tylko granatem roztrzaskane, ale i ogniem na pół spalone. Po obu stronach ulicy, gdzie dawniej były domy z ogrodami, teraz ziemia porozrywana mnóstwem lejów, powstałych z wybuchów granatów, tu i ówdzie trupy i ranni. Od miejsca, gdzie ulica przytyka do rzeczki, zaczyna się jeszcze straszniejszy obraz. Tam, gdzie pierwotnie były domki drewniane, pozostały ich ślady, lub jakieś potwornie zdruzgotane ich szczątki. Tuż na nieznacznym skręcie ulicy zburzony celnym pociskiem szaniec rosyjski, olbrzymie zwały ziemi, belki, lub części mebli sterczą, jak nagie żebra, a wśród tego coś dziesięć trupów, szare, brudne płaszcze, unurzane w ziemi, sine twarze i straszliwie powykręcane i zniekształcone ciała. Nad drogą sterczy krzyż z figurą, który ostał się z katastrofy. Stoi samotny, by poległym mógł zdobić mogiłę, armaty go nie tknęły.

Idę dalej. Po drodze pełno różnej broni, gilz, czopów, granatów i zegarów szrapneli. Wtym nowy obraz. Na drodze dwu ciężko rannych żołnierzy rosyjskich leży w pyle i jęczy z bólu, a obok przejeżdża artyleria niemiecka, koła armatnie tuż koło głów rannych przejeżdżają, tumany kurzu zasypują im twarze i rany, nikt się o nich nie zatroszczy, leżą tak już prawie dobę i kto wie, jak długo jeszcze tak będą leżeć, bo sanitariusze spieszyli z pomocą do rannych Niemców. To opis jednej tylko ulicy. Inny obraz, niemniej straszny przedstawiała część miasta przy cmentarzu katolickim, zniszczonym zupełnie wskutek zasypania go granatami. Były tam bowiem rowy strzeleckie rosyjskie z otworami strzelniczymi w murze cmentarnym. Przytykające bezpośrednio do cmentarza murowane domki roztrzaskane i spalone służyły do ostatka do obrony Rosjanom, którzy prażyli z za okien karabinami maszynowymi Niemców i to bardzo skutecznie. Naprzeciw zachodniego muru cmentarnego na polach „Magdaleny“ dziś jeszcze można czytać napis na tablicy, wmurowanej na małym cmentarzyku wojennym: „57. deutsche Soldaten, am 2. V. gefallen, am 5. V. 1915. begraben“, a obok tego wiersz niemiecki, sławiący ich odwagę, zwłaszcza że szli do szturmu na ochotnika, a nie na rozkaz. Wybił ich karabin maszynowy do nogi. Szaleństwem było bowiem z czystego pola atakować zwarty blok domów, pełny uliczek i kryjówek dla obrońców.

Ten obraz pobojowiska i śladów bitwy znikł prędko. W dwa dni usunięto rannych, pogrzebano trupy, zabrano się do usunięcia barykad i rumowiska z głównych ulic, którymi napływały nowe siły niemieckie. Później ze względów sanitarnych zabrano się do oczyszczenia miasta. Jeńcami usuwano gruz z ulic, zasypano rowy strzeleckie rosyjskie, ziemię wyrównano, pola zaorano. Szybko zmieniła się szata pobojowiska. Przez blisko dziesięć lat roztrzaskany wspaniały kościół murowany w stylu renesansowym był świadkiem tej strasznej wojny, — dziś jedynie duży cmentarz wojenny, zbudowany wielkim

nakładem pracy i materiału przez Niemców dla upamiętnienia ich zwycięstwa, jest dowodem, że tu przed laty rozegrała się straszna bitwa.

Na gruzach zburzonego miasteczka odbudowało się nowe, zwłaszcza na pagórkowatych krańcach, położone w przepięknym zagłębieniu u podnóża właściwych Karpat, skąd rozciąga się śliczny panoramiczny widok na oblicza (lica) gór, z czego nazwa miasteczka ma pochodzić.

W. Walczak, stud. U. J. w Krakowie.

Wśród jarów ciepłego Podola

(Z motocyklowej ekspedycji studentów geografii U. J. na Kresy Wschodnie).

Ostatnie poranne mgiełki pod tchnieniem leciuchnego zefiru znikały z Dniestrowego jaru. Wstawał dzień, nad podziw pogodny; ani jeden obłoczek nie mącił ciemnego błękitu niebios, a jasne promienie rozpalonego już białości słońca granatowymi prawie cieniami podkreślały rażącą oczy biel ulic „polskiego Meranu". Białe ściany i biel asfaltu jezdni rozpalone w promieniach słońca w zestawieniu z silnymi cieniami, z zielenią skwerów i drzew na tle sino-zielono-rdzawych ścian jaru, drgających rozgrzanym powietrzem, dawały w całości obraz tchnący egzotyzmem południa i tak szalenie dalekie od obrazów naszego kraju, że miało się wrażenie wizji gdzieś z nad lazurowej tafli Adriatyku.

Wypoczęci, po doskonale spędzonej nocy w zaleszczyckim schronisku, rwaliśmy naprzód pełni nadziei nadrobienia straconego w Kołomyji dnia na sprowadzeniu ze Lwowa i montażu nowych opon, gdyż stare, częściowo zużyte, po huculskich drogach doreszty odmówiły służby.

Droga schodzi coraz niżej. aż wreszcie zupełnie zstępuje na dno jaru. Pędzimy przez Dobrowlany, dużą wieś łączącą się prawie z Zaleszczykami. Droga biegnie w obramowaniu ciągnących się wzdłuż niej po obu stronach kamiennych murów z wielkimi drewnianymi bramami. Osobliwie te mury oddzielają od szosy gospodarskie obejścia; widać za nimi wysokie strzechy nad białymi czołami lepianek, widać niższe strzechy stajen czy chlewów, a wszystko na tle soczystej zieleni morelowych sadów, daleko, daleko zaś nad tym wszystkim górują rdzawo-sine jarowe ściany.

Za Doprowlanami szosa zaczyna piąć się w serpentynach po zboczu jarowym ku wierzchowinie. Motor pracuje ciężko z wysiłkiem pokonując silny spadek drogi połączony z wściekłymi wirażami, aż wreszcie upragniony wierzch. Tu znów inny obraz.

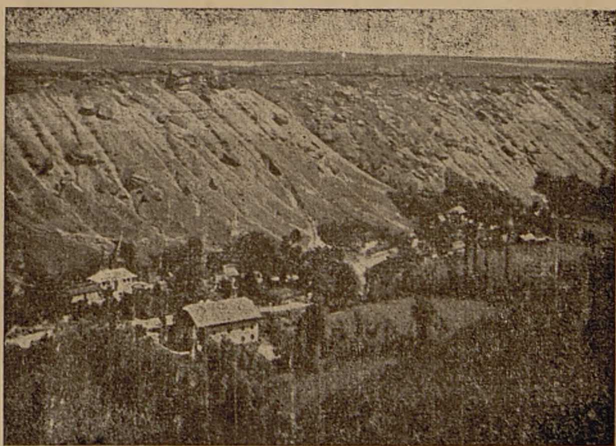
Po prawej stronie głęboko w dole na pokrytym szachownicą pod ciemno zielonymi plamami sadów dnie jaru wije się srebrzysta jak rtęć, szeroka

wstęga Dniestru, w zakolach swych dążąc od jednej pod drugą ścianę jarową. W lewo jak okiem sięgnąć równia bezdrzewna, bez domku jednego. Jedyna rzecz na której oko spocząć może, to wstęga szosy obstawiona zapałkami telegraficznych słupów i długie, ciągnące się hen daleko rzędy kop zboża na złotych ścierniskach. I ciągną się te złote zagony ściernisk, maleją z oddaleniem kopy zboża do małych punkcików aż hen daleko, daleko monotonia ta jakby bezkresna w mgle oddalenia zlewa się z kopułą nieba.

I jedziemy tą równiną podolskiej płyty, oddalając się coraz bardziej od Dniestru, wreszcie po jakich 12 km. pojawia się nagle po lewej stronie drogi głęboki jar o nagich, pokrajanych działaniem wody ścianach, wyraźnie u góry poziomo warstwicowych, pokrytych niezliczoną ilością olbrzymich, płaskich głazów, które wydają się wędrować w dół, jakby chciały zasypać leżącą na dnie, wśród zieleni sadów wioskę.

Jak z mapy wynika, jesteśmy już blisko Seretu, a jar właśnie widziany to jar jednego z dopływów Seretu.

I rzeczywiście, po kilkunastu minutach stajemy na krawędzi malowniczego jaru Seretu.



Jar jednego z dopływów Seretu. — Klasyczny przykład jaru podolskiego. Fot. W. Walczak.

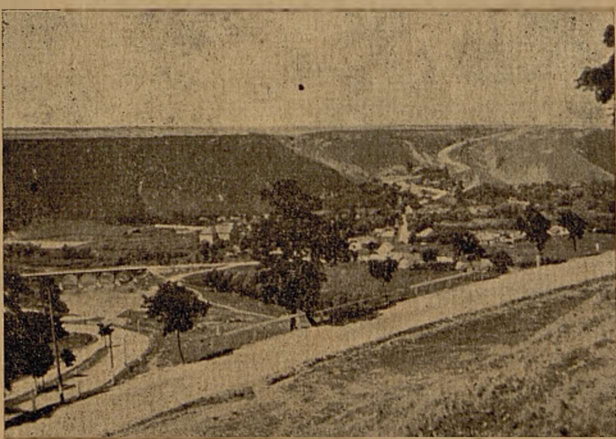
Stąd, z wysokiej krawędzi oglądane dno jaru czyni wrażenie wielkiego plastycznego planu, przygotowanego na jakąś propagandową wystawę turystyczną.

Po zielonym dnie wije się szeroka, srebrzysta wstęga Seretu, a obok druga wstęga, lecz dużo razy węższa, jak szara, prawie biała nić — to szosa przecinająca w poprzek dno jaru i przerzucająca się po moście przez Seret, aby z drugiej strony w śmiałych, licznych serpentynach piąć się na zbocze jaru. Most z naszej odległości robi wrażenie zbudowanej z zapałek dziecinnej zabawki; również zabaweczkami misternie wykonanymi wydają się być domki dużej wsi Kasperowiec, rozsiadłej na dnie, nad Seretem, których ściany bieleją wśród zieleni gęstych sadów.

Jak wszędzie tak i tu uderza w oczy ten kontrast barw, jaki tworzy zestawienie złotych ściernisk i zagonów, przypalonych słońcem ziemniaczanych badyli na wierzchowinie i ta przecudna zieleń dna jaru, czy bukowych lasów na jego zboczach. Ten jar to jakby oaza na tej spalonej słońcem powierzchni podolskiej płyty, to jakby ostoja życia i piękna na tle tej monotonii bezmiernej, pustej płaszczyzny stepu.

I zaczął się zjazd po wściekłych wirażach, biegnących z pieca na łeb tam w dół ku srebrzącej się wstędze Seretu. Jedziemy noga za nogą, hamując silnikiem i dwoma hamulcami, a mimo to ta początkowa niewinna szybkość zaczyna zwolna przypominać jednostajnie przyspieszoną szybkość, badaną kiedyś w gimnazjum podczas fizyki na równi pochyłej. Już w połowie zbocza mimo że stoję wprost na hamulcach, pędzimy z „kawalerską“ szybkością;— widocznie taśmy w bębnach hamulcowych porządnie starte. Wreszcie nie pozostaje nic innego jak skupić do ostateczności uwagę na kierownicy i wysilić do ostatnich granic cały kunszt prowadzenia, aby nie przeskoczyć któregoś z djabelskich zakrętów i nie skrócić sobie wydatnie drogi w dół po linii idealnie prostej, czego wynik przedstawiałby się dla całości naszych postaci spewnością dość wątpliwie. W uszach coraz większy szum uciekającego w tył powietrza, sytuacja coraz groźniejsza, lecz wreszcie ostatni wiraż, ostatnie potężne pochylenie i zarzucenie maszyną i przed nami dno jaru i prosta jak strzelił droga przebiegająca przez środek Kasperowiec.

W tumanie kurzu mijamy Kasperowce. Witają nas z za płotów pyzate buziaki dzieci i ujadanie psów, a za nami zostaje długi wąż szarego kurzu i rwący sią huk silnika.



Jar Seretu z osadą Kasperowce na dnie. Przykład jarowego osadnictwa na płycie podolskiej. — Fot, W. Walczak.

Mijamy most, a za nim znowu wiraże, tym razem trzeba je brać ku górze. Zakręty szalone, niekiedy trzeba robić skręty w tył prawie na miejscu. Motor warczy głucho, operować można tylko jedynką, o stosowaniu wyższych

biegów mowy niema, a w dodatku na niektórych wirażach zbyt małe pochylenie szosy i siła odśrodkowa omal nie spycha nas z jezdni.

Wreszcie osiągamy upragnioną krawędź jaru i przed nami ściele się znowu równina wierzchowiny.

Mijamy tak po 30 km. Ujście Biskupie, potym Iwanie Puste. Dalej jedziemy na Mielnicę ku Okopom św. Trójcy. W pewnej chwili mijamy małą wioskę; nagle droga rozdwaja się w dwie przeciwległe strony; machinalnie kieruję się w lewo, gdy wtem wzrok mój pada na strzałkę drogowskazu — strzałka z napisem „do Okopów" wskazuje drogę prawą. Energiczny, zbyt energiczny nawet skręt kierownicy, silne przyhamowanie w następstwie czego płot, sady, chaty, uliczki zawirowały przed oczyma jak w karuzeli — z pod kół wzbiła się chmura kurzu — instynktownie gaszę silnik i hamuję doreszty. Stoimy, motor pochylony silnie w lewo tuż nad rowem na szczęście płytkim, w rowie tkwi przyczepka, a w niej blady z wrażenia mój towarzysz. Wykonaliśmy przepiękne w tył zwrot w miejscu, tylko że drogi nam trochę brakło i musieliśmy częściowo wylądować w rowie.

Po minucie walimy dalej, miiamy po chwili Mielnicę i przed nami jak strzelił droga do Okopów.

Widać że droga wiedzie do granicy, bo jezdnia częściowo zarośnięta trawą i nad podziw mało zniszczona. Jak w kalejdoskopie uciekają wstecz chaty, wioski, sady morelowe, plantacje tytoniu, to znów złociste zagony słoneczników, to znów całe dżungle kukurudzy. Od czasu do czasu mijamy grupy wieśniaków spieszących na targ do Mielnicy. Ciekawy jest strój mężczyzn, składający się z długiej po kolana lnianej kaszuli ozdobionej haftem, przepasanej barwnym wełnianym pasem, z takichże białych spodni i małego słomkowego kapelusza na głowie. Bez porównania barwniejszy i ozdobniejszy jest strój kobiet; niektóre noszą białe serdaczki o bogato wyszywanych przodach i bogate hafty na przodach i rękawach koszul.



Typy ludowe z okolic Iwania k/Okopów św. Trójcy.
Fot. W. Walczak.

I znowu mijamy jakąć wieś. Lepianki zwrócone ślepymi ścianami do drogi, połączone płotami z desek, a wszystko na tle zieleni sadów, skąpane w jasnych promieniach setnie prażącego słońca.

Po kilku minutach i ta wieś zostaje za nami, a daleko, daleko na stromym, wyniosłym brzegu Dniestrowego jaru rysują się kontury porośniętych trawą wałów i kamienna szara brama warowni św. Trójcy.

Zbliżamy się do tej sławnej kresowej warowni, powstałaj po pokoju buczackim dla blokady oddanego Turkom Kamieńca Podolskiego.

Zahuczał głos motoru stłumiony pod łukiem sklepienia Lwowskiej bramy i wjeżdżamy w obręb warowni na obszerny majdan otoczony resztkami wałów i ziemnych fortyfikacyj. Droga przebiega przez jego środek i opuszcza go przez drugą istniejącą bramę Kamieniecką.

Dziś cisza tu na maidanie warowni. Zamiast stajen i futorów rycerskich stoi małe schronisko turystyczne i kilka domków; wały porosły chwastami i zaroślami, lepiszcze łączące kamienne ściany bram rozluźnił czas. Jest jeszcze tu studnia, pewno kiedyś skrzypiał nad nią potężny żóraw, ciągnący wodę dla rycerskich rumaków; kiedyś pełno tu było szczęku oręża i gwaru rycerzy kresowych, co jak wilcy gotowali się do wypadu na dwory tureckie dla krzemienieckiej twierdzy, czy na kryjące się po jarach czambuły tatarskie. Dziś ci rycerze kresowi śpią gdzieś pod stepową darnią w rdzawych zbroicach z klingami napół przez rdzę zjedzonych szablic u boku — ślad po nich pozostał chyba tylko w Sienkiewiczowskiej „Trylogii“, chyba tylko w tych resztkach murów i obwarowań, czy w dalekich kurhanach — ale zostali ich spadkobiercy w służbie na straży kresowych ziem.

Oto kilkasat metrów za Kamieniecką bramą sterczy d. mnie ku górze charakterystyczna wieża strażnicza stannicy K.O P.-u. Tam dziś szary polski żołnierz, co „nie nosi czap rogatych, ni krętych szmat na łydkach“, trzyma straż jak jego dawny poprzednik, rycerz kresowej stannicy, nad całością naszych kresów, tu u zbiegu trzech granic. A między tą nową stannicą, a dawną warownią św. Trójcy jakże wyraźna łączność wspólnego celu, wspólnego zadania pełnionej służby; — zdaje się, że ta nowa warowienka powstała z krwi i trudu załóg dawnej warowni tak jak na Polskę dzisiejszą złożyły się trudy i krwawe znoje tylu przeszłych pokoleń.

. . . .

„No, tylko patrzeć Krzywcza, poznamy je po ruinach zamku przy szosie“, — mówił mój towarzysz siedząc w przyczepce wpatrzony w rozłożoną na kolanach mapę.

Z godzinę już temu, jak opuściliśmy Okopy św. Trójcy wracając na Mielnicę i Iwanie Puste, gdzie spożyliśmy w jakiejś gospodzie obiad na zimno, a raczej na mrożono, gdyż przy nim skonsumowaliśmy dla ochłody olbrzymią masę lodów.

Teraz zaś, sądząc z mapy, lada chwila powinniśmy osiągnąć Krzywcze Górne, znane z prześlicznych grot gipsowych, uważanych w świecie turystycznym za osobliwość europejskiej miary.

Wreszcie przed nami na krawędzi jaru wyrastają duże sześcioboczne baszty, połączone resztkami murów, patrzących pustymi oczodołami okiennych otworów.

Jedna z baszt widocznie odnowiona, gdyż po zbliżeniu się widać świeże tynkowanie, posiada stożkowy blaszany dach, a nawet niezbyt z całością harmonizujący komin. Umieszczona nad wejściem tablica objaśnia, że mieści się tu schronisko turystyczne Podolskiego Oddziału Krajoznawczego. Mocno żałujemy, że nie skorzystamy z tego osobliwego noclegu w starej baszcie kresowego zamczyska, ale zato korzystając z obecności gospodarza schroniska informujemy się o możliwości zwiedzenia jaskiń. Pokazuje się, że musimy zjechać w jar do wsi a za nią przed mostem na rzeczce skręcić w lewo do chaty przewodnika i z nim dopiero można myśleć o zwiedzaniu. Tak też czynimy i po jakich kilku minutach zatrzymuję motor ua podwórzu chaty z napisem „Przewodnik po jaskiniach w Krzywczu".

Wychodzi do nas młody człowiek i przedstawia się jako przewodnik. Wszystko jest więc w porządku, naszego rumaka zostawiamy w podwórzu, sami uzbrojeni w latarki elektryczne, aparat fot. i zapas magnezji, ruszamy za naszym „ciceronem" dnem jaru wzdłuż rzeczki, a później ukośnie w górę biegnącą po zboczu ścieżyną ku widniejącym w górnej partii jarowej ściany białym gipsowym skałom. Wśród nich widać małą kapliczkę i kilka drewnianych szop, — tam znajduje się wejście do grot.

Po jakich 20 minutach marszu w skwarze południa jesteśmy nareszcie przy wmurowanych w skale drzwiach. Szopy obok to poczekalnie dla turystów, gdyż naraz może zwiedzać groty tylko mała ilość osób, a trafiają się wycieczki bardzo liczne.

Dużym kluczem otwiera ze zgrzytem nasz przewodnik zardzewiały zamek i wchodzimy do zimnego podstęplowanego chodnika, biegnącego ukośnie w dół. Świecimy nasze lampki, a przewodnik zapala przygotowaną u wejścia naftową latarnię i zaczynamy zejście w mroczną czeluść chodnika. Wije on się spiralnie w dół, a po zejściu na głębokość jakiego piętra biegnie znów bardziej poziomo, tylko o niemiłosiernych zakrętach. Na wstępie daje się odczuć szalona różnica temperatury; tam na wierzchu upał przekraczający 40^0 C w słońcu, a tu temperatura niedochodząca do 10^0 C. Po kilkunastu metrach podstęplowania stropu i ścian kończą się i zaczyna się korytarz taki, jakim go rzeźbiąca w gipsie wody stworzyły, z tem tylko, że został o jakie 80 cm. pogłębiony dla udostępnienia wejścia.

Szare ściany iskrzą się w świetle latarek miliardami iskierek, a strop z brył i nacieków też jarzy się niezliczonymi kryształkami gipsu. W nabożnym milczeniu posuwamy się naprzód za przewodnikiem, patrząc na ten cudny, tak inny od zwykłego, świat.

Korytarz to rozszerza się, to znowu zwęża tak, że ledwo przejść można; kręci się ciągle, wreszcie rozszerza się i przechodzi w obszerniejszą komorę kończącą się u góry kominem. To „Grota Bawola", ściany podzielone działaniem spływającej wody na nieregularne kolumny, u stropu wiszą potężne

bryły, a wszystko skrzy się i drga iskierkami odbitego w kryształkach gipsu światła naszych latarek. Jeden z wiszących ze stropu odłamów upodobniła erozja wodna do głowy wołu i stąd nazwa całej groty.

Idziemy znów dalej pnącym się teraz w górę korytarzem, mijamy kilka sal, a to „Grotę Skał" najeżoną wielkimi ostrymi odłamami gipsów i wchodzimy następnie do olbrzymiej sali, o ścianach gładkich, ale o posadzce porozpadanej w głębokie szczeliny, to „Grota Zwalisk", największa z grot w Krzywczu.

Zatrzymując się od czasu do czasu dla dokonania zdjęć idziemy ciągle naprzód; jak twierdzi nasz przewodnik przebyliśmy już przeszło 6 km., gdy całkowita długość podziemnych korytarzy według przewodnika wynosi 12 km.

W pewnej chwili wchodzimy do małej komory, ale najcudniejszej ze wszystkich. Jak śnieg białe iskrzące się milionami kryształowych igiełek rzędy stalaktytów wiszą jak olbrzymie sople lodowe u stropu, a pod nimi dziwne, płaskie, grzybowe formy, robiące wrażenie zamarzłych fontann. To grota wapienna, najpiękniejsza z grot w Krzywcu, a zarazem jedna z najpiękniejszych grot wapiennych o wykształconych stalaktytach w Polsce. Długo stoimy nie mogąc napatrzeć się na to cudo jakby z baśni wyśnione. Drgające iskierki i migocące przy każdym poruszeniu latarek cienie dodają tajemniczości i uroku i zdają się ożywiać każdą sopelkę, każdy załom cudnie rzeźbionych wapiennych koronek.

Grota ta to ciekawe zjawisko nacieku wapienia w 30-to metrowym pokładzie gipsu morza górno-mioceńskiego, w którym wody wypłukały chodniki groty i kominy. A tylko w tej wapiennej komorze wykształtowały się stalaktyty i stalagmity, w pozostałych gipsowych komorach brak ich zupełny, gdyż gips wytwarzaniu się ich nie sprzyja.

Wracamy ku wyjściu zupełnie inną drogą do korytarza wejściowego, drapiąc się od czasu do czasu po zalegających dno złomach gipsowych to znów przechodząc małe komory. Wreszcie kończy się droga, jeszcze przejście podstęplowanym chodnikiem, a po chwili wychodzimy na powierzchnię, przeszedłszy jak nam przewodnik twierdzi 9 km. podziemnych korytarzy. Teraz po wyjściu na świat boży uderza nas dziwnie ciężkie, upalne powietrze; zdaje się, weszliśmy do silnie ogrzanej cieplarni, a słońce, mimo że już dobrze popołudniu, tak okropnie razi oczy przywykłe do ciemności, że niesposób patrzeć. Schodzimy w milczeniu ku wsi, każdy z nas przetrawia niedawno doznane wrażenia takie niecodzienne, takie inne, jak inny od tego ten zaczarowany świat podziemny.

. . . .

W niecałe dwie godziny później mijaliśmy Czortków, za nami oddalone przeszło 50 km. pozostało Krzywcze Górne ze swymi cudnymi grotami, a przed nami ciągnęła się szosa na Kopyczyńce, Trembowlę do Tarnopola.

Józef Staśko.

Nieco o kulturze współczesnej Anglii.

Z okazji koronacji króla Jerzego VI. warto zastanowić się nieco nad kulturą tego niezwykłego i oryginalnego narodu, jakim są Anglicy.

Kulturę współczesnej Anglii cechuje przedewszystkiem jej odrębność i wybitna indywidualność, taka niezwykła, jakiej nigdzie gdzieindziej nie spotykamy. Rasa angielska, nie jest wynikiem jedynie odrębności wysp brytyjskich, ani co do pochodzenia jednorodną, albowiem powstała ze skrzyżowania się kilku ras antropologicznych i plemiennych. Nietylko położenie geograficzne, odrębność krainy otoczonej ze wszystkich stron morzami oraz klimat i inne warunki zdrowotne i życiowe, ale również zwyczaje człowieka i cechy jego charakteru doprowadziły do ogromnej odrębności kulturalnej.

Na wyspach brytyjskich mieszkały ongiś ludy pochodzenia celtyckiego np. Piktowie, Brytowie, Sylurowie. Później przybyli tu wśród wielu wypraw Rzymianie, przynosząc pierwiastek kultury łacińskiej, a wreszcie różne plemiona korsarskie i rybackie, jak Anglowie, Saksoni, Duńczycy, wreszcie Normanowie, którzy w ciągu XI wieku dokonali reszty zmieszania się różnych elementów kulturalnych w jeden naród.

Anglia zatem przedstawia związek żywiołów celtyckich, romańskich i germańskich.

Poza pochodzeniem człowieka na obszarze dzisiejszej Anglii wielkie znaczenie posiada również charakter samego kraju. zawsze wilgotne i chłodne powietrze. chmurne i mgliste niebo, trudność zdobycia schronienia, kłopoty i przykrości związane z wyżywieniem się, walka o byt prowadzona w niesłychanie ciężkich warunkach życia, wreszcie szczupłość przestrzeni na wyspach dla coraz to większej liczby mieszkańców. Oto przyczyny. dlaczego Anglik stał się odpornym i wytrzymałym na trudy, dlaczego zawsze marzy o swoim własnym domu, dlaczego stara się i zabiega tak usilnie o swój własny dobrobyt i wreszcie dlaczego jest tak egoistyczną naturą.

Porównując te warunki życia z warunkami np. kontrastowej Grecji, możemy dojść do przekonania. że pożywienie jednego Anglika wystarczy zupełnie dobrze dla rodziny z sześciu osób złożonej w Grecji. Wszak zupełnie innym typem człowieka jest Grek żyjący wśród ciepła, jasnego nieba i łatwości zdobycia pokarmu.

Naród angielski stał się udywidualnym i intylitarnym, pracując tylko dla siebie i starając się czynić tylko to, co przynosi korzyść osobistą. Ten utylitaryzm angielski połączony z egoizmem wysunął cały naród ponad inne narody i nic dziwnego, że stąd to pochodzi ta wielka duma i ambicja wyróżniająca Anglika, który uważa, że wszystkie inne narody można traktować lekko i z góry.

Anglicy są nie tylko dobrymi kupcami spowodu dobrze rozwiniętych wybrzeży swoich wysp i licznej floty i świetnych warunków do rozwoju handlu i komunikowania się z innymi narodami, ale także dlatego, że mają zmysł orientacyjny, który wyrobili sobie wśród ciężkiego współżycia z różnymi państwami. Słynna jest dyplomacja angielska, t. zw. tradycyjna, kiedy to zmieniają się czasy, stosunki i ludzie, a polityka zagraniczna Albionu pozostaje ta sama.

Anglicy wyróżniają się też mistycyzmem i idealizmem, którego jednak nie objawiają na zewnątrz. Mistycyzm pochodzi jeszcze od Celtów. Ponure krajobrazy walijskie lub szkockie, walka żywiołów, a głównie burze morskie, wielkie siły przyrody i bujna wyobraźnia spowodowały fantastyczną religię

pogańską u Celtów, którzy pozostawili swoim pokoleniom wielki mistycyzm, zachodzący dziś nawet w najwyższej arystokracii rodowej.



Kraj angielski przepełniony idealizmem, a jednak żyje życiem praktycznym. Normanowie dali rasie angielskiej subtelność i rozumność, poczucie piękna i dążenie do swobody, do zdobycia jak największej niezależności osobistej. Tu są zródła pierwszego na świecie parlamentaryzmu i pierwszej demokracji, która wcale nie przeszkadza zakorzenionej i odwiecznej miłości do króla i królestwa. Można w Anglii mieć swoje zdanie i swoje przekonanie, ale na króla nie można nic powiedzieć.

Trudno sobie wyobrazić, ażeby uczucia braterstwa, towarzyskości, zamiłowanie do stowarzyszeń, praca wspólna i chęć współżycia należały do cech charakteru germańskiego. A jednak są to cechy narodu angielskiego przekazane jeszcze przez Celtów. Anglików też cechują spokój i równowaga umysłowa i duchowa, nic nie jest w stanie wyprowadzić Anglika z równowagi, a jednak jest on namiętnym i uczuciowym i także gwałtownym człowiekiem, tylko że tego nie wyjawi nigdy.

W Anglii nie spotyka się dzieci wesołych, nawet w grze, nawet we wielkiej gromadzie, dzieci angielskie są poważne. Pochodzi to nie ze wzororowej karności lub nakazu takiej powagi, ale stąd, że dzieci w Anglii mają już w sobie odcień smutku i melancholii.

Zasadami wychowania angielskiego jest baczenie na siebie samego, wykorzystanie zycia w kierunku dobra dla siebie i dla drugich, na wzbudzaniu w człowieku odwagi do walki z przeciwnościami losu, na wyrobieniu w sobie hartu ducha i zadowolenia z tego, co się posiada, na panowaniu nad sobą, aby nie pokazać światu swoich myśli i uczuć.

Trzy jeszcze rzeczy cechują charakter Anglika: zdrowy rozsądek, uczciwa i szlachetna gra i dyscyplina pracy. Uczą się tego wszystkiego przez sporty i to od małego dziecka. Zasady poszanowania i uczciwego traktowania przeciwnika stoją w powyższej grze na pierwszym planie. Odstąpienie od tych zasad powoduje usunięcie takiej jednostki z życia społecznego i towarzyskiego. Kto łamie zasady szlachetnej gry, ten nie należy do przyzwoitych ludzi. Czy uwierzymy, że podczas pisania zadania szkolnego nauczyciel angielski wychodzi z klasy i nikt nie odpisze od swego kolegi zadania? Wykluczone też jest podpowiadanie jako niezgodne z honorem i dyscypliną pracy („team work"). Robotnicy w Anglii pracują bez dozoru. Czytelnictwo w Anglii stoi tak wysoko, jak nigdzie na Kontynencie, a świadczy o tem choćby fakt, że gazety n. p. „Times" wychodzą dziennie 7 razy. Ilość muzeów, kolekcjonowanie dzieł sztuki, czytelnie i biblioteki, to także podstawa kultury angielskiej.